

Jarmark

Jarmark w Szczebrzeszynie był dawnym przywilejem udzielanym miejscowościom o prawach miejskich. Odbywał się one we wtorki. W czasach po II wojnie światowej, kiedy w sklepach mało było różnych produktów przemysłowych i spożywczych, jarmarki zaspokajały podstawowe potrzeby mieszkańców miasteczka i okolicy. Na jarmarku sprzedawano i kupowano przeróżne rzeczy, które dzisiaj w formie zmodyfikowanej można kupić w zwykłych sklepach, na wyjątkowych kiermaszach lub w sklepach oferujących sztukę ludową. Dzisiaj po latach jest nadal coś w rodzaju targu, ale w formie unowocześnionej, czyli na zadaszonych stołach i tymczasowych kramach i w jednym miejscu. Artykuły rolno-ogrodnicze, tańsza niż w sklepach odzież i różne narzędzia są sprzedawane obok dworca autobusowego. Wprawdzie jest tego towaru dużo, ale to już nie ma takiego koloru i atmosfery, jakie bywały na dawnych jarmarkach.

Szczebrzeszyn cały żył jarmarkiem, bo handlowanie odbywało się w różnych miejscach. Wszędzie stało pełno furmanek, a konie za lejce przywiązane do płotów. Właściciele posesji denerwowali się na takie przywiązywanie koni, ponieważ wypadały sztachety lub przewracał się płot, kiedy koniowi zachciało się zmienić swoje menu. Zwykle coś tam zjadał ze swego maniaka (worek z karmą podczepiony do końskiego pyska), ale kiedy pod płotem rosło coś bardziej smacznego, to koń wybierał zielone kosztem przewracanego płotu. Wiadomo było, gdzie kupuje się krowy i świnie, gdzie konie, gdzie produkty rolno-spożywcze i gdzie różne przedmioty potrzebne do codziennego użytku. Kupowaniu czegokolwiek towarzyszył odpowiedni na ceremoniał. Jeżeli kupowano konia, to chłopci oglądali sylwetkę konia, sprawdzali zęby i próbowali jego siłę – czy dobrze ciągnie furmankę. Wtedy to na furmankę siadała grupa mężczyzn, już nieco podchmielonych, żeby był odpowiedni ciężar, pozostał przytrzymywali koła wozu za szprychy w celu

hamowania. Jeden z siedzących na furmance poganiał konia krzykiem, strzelaniem z bata lub nawet uderzeniami bata. Taka próba odbywała się na różnych uliczkach Szczebrzeszyna. Musieliśmy dobrze uważać, aby nie zostać przejechanym lub potrąconym. Woźnice tak byli zajęci koniem, że zwracali uwagi na otoczenie. Rodzice przypominali nam, że dzisiaj jarmarki i mamy uważać na to co się dzieje na ulicach. Jak koń się sprawdził, wtedy przystępowano do targowania się o cenę. Kiedy nabywca płacił, wtedy sprzedawca musiał mu dać tzw. „poza nogami”, czyli 50 groszy lub 1 złoty na szczęście. Miało to swój klimat i tego mi żal.

Jarmarkom niekiedy towarzyszyły konne popisy. Konie przyprowadzone ze wsi nie widziały wcześniej samochodów i płoszyły się na ich widok. Czasem po ulicach pędził przestraszony koń z fragmentem furmanki, a daleko, daleko cała gromada ludzi, która chciała złapać konia. Było to dość niebezpieczne dla przechodniów.

Natomiast krowy i świnie kupowało się na tzw. Targowni lub inaczej na Wygonie. Był to koniec ul. Partyzantów, w kierunku wsi Szperówka. Tutaj podobnie jak przy koniach kupowanie zaczynało się od oceny zwierzęcia. Potem było długie targowanie, nawet o banalne sumy i zabobonne dawanie monet „poza nogami”.

Po południowej stronie rynku znajdowała się hala targowa słynna jeszcze z przedwojennych jarmarków. Handel wewnątrz powoli został skasowany na rzecz magazynów i sklepu z narzędziami rolniczymi. Stąd wtorkowe handlowanie przenosiło się na chodnik i ulice obok hali. Bliżej hali sprzedawano produkty wiejskie: mięso na straganie, nabiał i warzywa. Słynny i smaczny był tzw. groch szparagowy – pnący się po tyczkach z leszczyny. Jego plantacje znajdował się na granicy łąk i pól takich wsi, jak Błonie, Kawęczyn, Kawęczynem, itd. aż do Zwierzyńca, czyli wzdłuż rzeki Wieprz.

Na jarmarku było mnóstwo wiejskiej śmietany i masła zawijanego w liście chrzanu. Niekiedy masło było „podrabiane”, bo wewnątrz mógł się

zładować kartofel, a żółty kolor masła uzyskiwano przez barwienie sokiem z marchwi. Żółte miało więcej tłuszczu. Jednak panie, które kupowały masło nie dawały za wygrane. Były czujne. Nawet śmietana mogła być też „oszukana”, ponieważ jej większa gęstość pochodziła z dodawania mąki. Próby okłamywania rozpoznawano przez skosztowanie masła, śmietany czy sera. Pamiętam wyprawy z moją matką na zakupy. Wiele razy potem przydały się jej instrukcje choćby przy zakupie jajek. Jeżeli w potrząsanym jajku coś stuka, to na pewno jest ono zepsute. Jasne i nie trudne do zastosowania. Oczywiście handlowano różnymi rodzajami zboża, takiego na mąkę i takiego na paszę. W Szczepieszynie było trzy młyny. Największy młyn przy ul. Klasztornej pracował całodobowo. Przy ul. Rozłopskiej był młyn i kaszarnia. I dziwi nas dzisiaj, że pracowali na pełne obroty, a do młyna ustawiały się długie kolejki furmanek ze zbożem do mielenia.

Obok targu z żywnością, na ul. Sądowej, rozkładali się handlarze z glinianymi naczyniami, z sitami, z rajtakami (podobny do sita, ale z większymi oczkami). Ci najczęściej pochodzili z okolic Biłgoraja. Od dawna mieszkańców Biłgoraja przewalali „siciarze”, bo tam była tzw. Włosiankarnia i produkowano sita. Natomiast mieszkańców Szczepieszyna przezywali „cebularzami”, bo w tych okolicach było dużo cebuli.

Gliniane naczynia były różnych kształtów – w zależności od przeznaczenia. Spotykałem ozdobne dzbanki, miski małe i bardzo duże oraz naczynia w kształcie stągwi. Te ostatnie służyły do przechowywania w piwnicach mięsa, tłuszczu i niekiedy miodu. Stosowano glinę w kolorze jasny brąz lub w kolorze szarym. Te szare były mniej ozdobne. Niekiedy na brzegach miały ornamenty wykonane rysikiem. Należy wymienić również gliniane gwizdki w kształcie kukułki. Te gwizdki nazywano kukułkami.

Na jarmarku można było kupić cepy, grabie i drewniane beczki oraz drewniane zabawki dla dzieci: małe furmanki, ptaki klapiące skrzydłami i kółka na patyku, które głośno terkotały.

Niekiedy kobiety sprzedawały kolorowe chodniki wykonane na domowych krosnach. Długie pozszywane paski pochodziły ze starej odzieży, bo nie wyrzucano wszystkiego na śmietnik.

Po takim jarmarku cały Szczepieszyn był zaśmiecony do granic możliwości. Jeszcze na następny dzień przeciągało się sprzątanie. Magistrat miał opłacane osoby, które razem z właścicielami posesji robili porządki, a przeciętni mieszkańcy czekali na następny jarmark. Mieli nadzieję kupić coś nowego, lepszego, albo to, czego nie było w sprzedaży dzisiaj. Może była kiepska pogoda lub rolnicy mieli zajęcia w polu i nie przyjechali na jarmark. Ale przyjadą, bo co zrobią ze swoimi plonami.